

ROZDZIAŁ XVI

Konieczność prowadzenia dokładnej nawigacji – Trzy godziny spędzone przy sterze w ciągu 23 dni – Przybycie na Wyspy Kokosowe – Ciekawy rozdział historii społecznej – Powitanie urządzone przez wyspiarskie dzieci – Czyszczenie i malowanie „Spraya” na plaży – Muzułmańskie błogosławieństwo za garnek dzemu – Wyspy Kokosowe to raj – Ryzykowna przeprawa małą łódeczką przez lagunę – Kurs na wyspę Rodrigues – Uznany za Antychrysta – Gubernator uspokaja przestraszonych ludzi – Odczyt – Klasztor w górach

Do Wysp Kokosowych było teraz tylko 550 mil, ale nawet na tym krótkim etapie rejsu musiałem bardzo uważnie prowadzić nawigację i trzymać właściwy kurs, w przeciwnym razie mógłbym przegapić atol i go minąć.

12 lipca w odległości około 100 mil na południowy zachód od Wyspy Bożego Narodzenia zobaczyłem chmury sunące z południowego zachodu w kierunku przeciwnym do pasatu, bardzo wysoko ponad regularnymi wiatrami, które osłabły teraz na kilka

dni. Jednocześnie pojawiła się martwa fala, wyższa niż poprzednio, idąca również od południowego zachodu. To oznaczało, że od Przylądka Dobrej Nadziei nadciąga zimowy sztorm. W związku z tym pożeglowałem ostrzej do wiatru, aby wyrównać wynoszący 20 mil na dobę znos powodowany prądem i nie było to zbyt wiele, gdyż płynąc tym kursem, ujrzałem Wyspy Kokosowe tuż przed dziobem. Pierwszą wyraźną oznaką lądu była poranna wizyta białej rybitwy, która krążyła wokół statku, a następnie wielce zaaferowana odleciała na zachód. Rybitwa jest nazywana przez wyspiarzy „pilotem Wysp Kokosowych”. Dalej natknąłem się na duże stado ptaków polujących na ryby i walczących o te, które już złowiły. Mogłem zakończyć obliczenia, bo zacząłem wspinać się na maszt i już z połowy jego wysokości ujrzałem palmy kokosowe wystające z wody. Spodziewałem się tego widoku, a mimo to wstrząsnął mną dreszcz, jakbym został porażony prądem. Cały rozdygotany ze wzruszenia zsunąłem się z masztu i nie mogąc się oprzeć impulsowi, usiadłem na pokładzie i poddałem się emocjom. Ludziom siedzącym w salonie na łodzi może się to wydawać słabością, ale ja opowiadam historię samotnego rejsu.

Nie dotykałem steru, bo niesiony prądem i falami statek sam znalazł drogę, żeglując perfekcyjnie torem wodnym prowadzącym do celu. Nie dałoby się zrobić tego lepiej nawet na okręcie wojennym! Następnie wybrałem żagle do bajdewindu, stanąłem za sterem i popłynąłem kilka mil za przystań portową, gdzie rzuciłem kotwicę. Była godzina 15.30, 17 lipca 1897 roku, 23 dni po wypłynięciu z wyspy Thursday. Przebyty dystans wynosił w linii prostej 2700 mil – tyle co niezły przelot przez Atlantyk. Był to etap wspaniałej żeglugi! W ciągu tych 23 dni nie stałem za sterem więcej niż 3 godziny, wliczając w to czas spędzony na wpływaniu do portu Keeling. Po prostu zablokowałem ster i pozwoliłem statkowi żeglować samodzielnie. Bez względu na to, czy wiatr wiał

z boku, czy od rufy, „Spray” zawsze trzymał właściwy kurs. Żaden wcześniejszy etap rejsu nie przebiegał od początku aż do końca tak swobodnie jak ten⁹⁵.

Wyspy Kokosowe według admirała Fitzroya z Royal Navy leżą między 11°50' a 12°12' szerokości geograficznej południowej oraz między 96°51' a 96°58' długości geograficznej wschodniej. Zostały odkryte w latach 1608–1609 przez kapitana Williama Keelinga, służącego wówczas w Kompanii Wschodnioindyjskiej. Południowa grupa składa się z siedmiu lub ośmiu wysp i wysepek na atolu,

⁹⁵ Pan Andrew J. Leach, wysyłając 21 lipca 1897 r. za pośrednictwem gubernatora Kynnersleya z Singapuru raport dla Josepha Chamberlaina, ministra ds. kolonii, tak pisał o wizycie statku „Iphegenia” na atolu:

„Kiedy opuściliśmy błękitne głębiny oceanu i wpłynęliśmy między koralowce, kontrast był niezwykły. Wspaniałe kolory wody, przejrzystej do głębokości ponad dziesięciu metrów, raz purpurowej, innym razem błękitnej jak niebo, to znów zielonej, z białymi grzbietami fal, mieniącej się w promieniach wspaniałego słońca, otaczającej [...] porośnięte palmami wyspy, między którymi od strony południowej nie dało się zauważyć przerwy, białe piaszczyste plaże i jeszcze bielsze miejsca, w których rozbijały się fale przyboju, a wreszcie sama laguna o szerokości siedmiu lub ośmiu mil z północy na południe i pięciu do sześciu ze wschodu na zachód przedstawiała widok, którego nigdy nie da się zapomnieć. Nieznacznie spóźniony pan Sidney Ross, najstarszy syn pana George’a Rossa, wypłynął nam na spotkanie, a wkrótce potem w towarzystwie lekarza i innego oficera zeszliśmy na ląd.

Po dotarciu do przystani zastaliśmy w niej przyholowany tam w celu oczyszczenia kadłuba itd. jacht »Spray« z Bostonu, jol o ładowności 12,70 ton brutto, należący do kapitana Joshuy Slocuma. Przybył on na wyspę 17 lipca, 23 dni po wypłynięciu z wyspy Thursday. Ten niezwykły samotny podróżnik opuścił Boston jakieś dwa lata temu, w pojedynkę przepłynął do Gibraltaru, następnie pożeglował do przylądka Horn, przepłynął przez Cieśninę Magellana do Wysp Towarzystwa, a stamtąd do Australii i przez Cieśninę Torresa na wyspę Thursday” (przyp. autora).

który jest szkieletem tego, co pewnego dnia, zgodnie z historią raf koralowych, zamieni się w jedną wyspę.

W północnej części archipelagu nie ma portu, jest ona rzadko odwiedzana i nie ma większego znaczenia. Natomiast południowe Wyspy Kokosowe to dziwny mały światek z własną romantyczną historią.

Od czasu do czasu odwiedzały je a to szczątki drewnianego takielunku jakiegoś zniszczonego przez huragan statku, to znowu drzewo, które przydryfowało tu niesione prądem aż z Australii lub niefortunny statek porzucony przez załogę. Kiedyś przydryfowała tu nawet skała, oplątana mocno przez korzenie drzewa.

Po odkryciu wysp przez kapitana Keelinga ich pierwszym znaczącym gościem był kapitan John Clunis-Ross, który w 1814 roku przybył na statku „Borneo” podczas podróży do Indii. Dwa lata później kapitan Ross powrócił razem z żoną i rodziną oraz teściową, panią Dymoke, i ośmioma żeglarzami-rzemieślnikami, chcąc objąć wyspy w posiadanie, ale natknął się tam na niejakiego Alexandra Hare’a, który tymczasem urządził sobie na tym małym atolu coś w rodzaju Edenu w postaci haremu malajskich kobiet, które sprowadził z wybrzeży Afryki. Żeby było śmieszniej, Hare’a i jego liczne kobiety przetransportował na wyspy rodzony brat Rossa, który nie miał pojęcia o planach kapitana Johna dotyczących tego małego światka. Tak więc Hare przybył tam ze swoją ekipą i zamierzał na wyspach pozostać.

Jednak podczas swojej poprzedniej wizyty na jednej z wysp noszącej nazwę Horsburg kapitan Ross wciągnął na wbity w ziemię maszt brytyjską flagę. Po dwóch latach jej strzepy wciąż powiewały na wietrze, a marynarze Rossa, nie bacząc na nic, natychmiast rozpoczęli inwazję na nowe królestwo, aby wziąć je w posiadanie wraz z kobietami i całą resztą. Siły zbrojne obrońców

w postaci 40 kobiet dowodzonych przez tylko jednego mężczyznę nie były w stanie wypchnąć 8 krzepkich marynarzy z powrotem na morze⁹⁶.

Od tej pory dla Hare'a nastaly ciężkie czasy. Nie mógł się dogadać z Rossem i nie byli dobrymi sąsiadami. Wyspy były zbyt małe i leżały zbyt blisko siebie, aby mogli na nich zgodnie żyć ludzie o tak różnych charakterach. Hare miał „morze pieniędzy” i mógł sobie dobrze żyć w Londynie, ale kiedyś był gubernatorem dzikiej kolonii na Borneo i nie potrafił ograniczyć się do monotonnej prozy życia, którą zapewnia cywilizacja. Tak więc próbował utrzymać się na atolu ze swoimi kobietami, wycofując się stopniowo pod naporem Rossa i jego krzepkiej załogi, aż w końcu znalazł się wraz z haremem na małej wysepce do dziś nazywanej Wyspą Więzienną, gdzie niczym Sinobrody zamknął swoje żony w zamku. Przesmyk między wyspami był jednak wąski, woda niezbyt głęboka, a ośmiu szkockich marynarzy było wyposażonych w długie skórzane buty. Hare był przerażony. Próbował osiągnąć kompromis za pomocą rumu i innych luksusów, ale to tylko pogorszyło sprawę. Nazajutrz po pierwszych uroczystych obchodach dnia św. Andrzeja na wyspie ogarnięty wściekłością Hare, który już nie rozmawiał z kapitanem, wystosował do niego list, w którym napisał: „Drogi Rossie: Myślałem, że kiedy wysłałem twoim marynarzom rum i pieczonego prosiaka, będą trzymać się z dala od mojego ogrodu kwiatowego”. W odpowiedzi na to kapitan, płonąć z oburzenia, krzyknął ze środka swojej wyspy: „Ahoj, tam na Wyspie Więziennej! Hare! Czy ty nie wiesz, że rum i pieczone prosię

⁹⁶ W relacjach zamieszczonych w „Sailing Directory” Findlaya istnieje rozbieżność co do chronologii niektórych wydarzeń. Mój opis jest oparty na relacjach zebranych od wnuków starego kapitana i jego zapisków, które będąc tam, przeczytałem (przyp. autora).



„Spray” na Wyspach Kokosowych wyciągnięty na brzeg w celu pomalowania dna (rysunek na podstawie fotografii)

to żaden raj dla żeglarzy!”. Hare opowiadał później, że ryk kapita-
na można było usłyszeć aż na Jawie.

Samozwańcze królestwo Hare’a zostało wkrótce unicestwione
przez kobiety, które opuściły Wyspę Więzienną i oddały się pod
opiekę Rossa. Następnie Hare udał się do Batawii⁹⁷, gdzie dokonał
żywota.

Moje pierwsze wrażenie po zejściu na ląd było takie, że na
Wyspach Kokosowych nigdy nie miała miejsca zbrodnia dziecio-
bójstwa.

⁹⁷ Dzisiaj Dżakarta.

– Przyszła pana powitać cała nasza młodzież – wyjaśnił pan Ross obecność setek dzieci w różnym wieku i różnego wzrostu zgromadzonych na nabrzeżu.

Mieszkańcy tej krainy byli raczej nieśmiali, ale zarówno młodzi, jak i starzy nigdy nie mijali się ani nie przechodzili obok czyjegoś domu, nie wymieniając pozdrowień. Swoimi śpiewnymi głosami pytali:

– Idziesz na spacer? (*Jalan, jalan?*)

– Przejdiesz się razem ze mną? – brzmiała odpowiedź.

Przez długi czas po moim przybyciu dzieci traktowały „jedn osobowy statek” podejrzliwie i z respektem. Przed wieloma latami pewien tubylec został porwany przez wiatr daleko w morze, a dzieciaki przekonywały się nawzajem, że mógł on zostać przemieniony z czarnego w białego i powrócić na statku. Przez jakiś czas każdy mój ruch był bacznie obserwowany. Szczególnie interesowało ich to, czym się odżywiam.

Pewnego dnia, po tym jak wysmarowałem kadłub mieszanką smoły węglowej i innych składników, a później jadłem kolację, racząc się dżemem jeżynowym, usłyszałem hałas, a potem krzyk i tupot nóg uciekających dzieci, które krzyczały:

– Kapitan je smołę! Kapitan je smołę!

Wkrótce jednak przekonały się, że ta „smoła” jest bardzo smaczna i że miałem jej całkiem sporo. Gdy pewnego razu smarowałem nią grubo morskiego suchara dla bardzo podekscytowanego młodzieńca, usłyszałem ich szept: „*Chut-chut!*”, co oznaczało, że rekin ugryzł mnie w rękę, która – jak zauważyli – była poraniona. Odtąd uważali mnie za bohatera, a mnie brakowało palców, za które chciały mnie trzymać małe, bystre maluchy, które wszędzie chciały mi towarzyszyć. Wcześniej, gdy wyciągałem rękę i mówiłem: „Chodź!”, uciekały do najbliższego domu i mówiły: „*Dingin*” (Jest zimno) lub „*Ujan*” (Będzie padać). Teraz, gdy przekonały się,

że nie jestem powracającym duchem zaginionego czarnego, zyskałem na wyspie wielu przyjaciół chcących mi towarzyszyć niezależnie od tego, czy padał deszcz, czy świeciło słońce.

Pewnego dnia, kiedy próbowałem mocno zaryty w piasek słup ściągnąć na wodę, wszystkie dzieci klaskały w dłonie i płakały, że *kpeting* (krab) trzyma go za kil, a mała dziesięcio- lub dwunastoletnia Ofelia napisała w dzienniku pokładowym „Spraya”:

Setka mocnych ludzi ciągnie go,
Pocąc się przy kabestanie, yeo ho!
Rozerwali tylko linę,
Statek nie chce spłynąć.
Nawet „Spray” nie przebędzie wielu mil,
Kiedy wielki *kpeting* trzyma go za kil.

W końcu uradziliśmy, że poprosimy muzułmańskiego kapłana Samę Emima, aby za garnek dzemu wymodlił u Mahometa błogostawieństwo dla mojej podróży i zmusił kraba, by puścił stępkę statku. Metoda okazała się skuteczna i podczas następnego przyływu „Spray” spłynął na wodę.

22 lipca przybył HMS „Iphegenia” z sędzią Andrew J. Leechem i sędziami wojskowymi na pokładzie. Mieli dokonać inspekcji w koloniach leżących wokół Cieśniny Keelinga, do których należały Wyspy Kokosowe, w celu wysłuchania skarg i rozpatrzenia spraw zgodnie z prawem, o ile by takie były. Zastali „Spraya” wyciągniętego na brzeg i przywiązanego cumą do palmy kokosowej. Jednak na wyspach Keelinga od czasu, kiedy wyemigrował Hare, nie było żadnych sporów, ponieważ Rossowie zawsze traktowali mieszkańców wysp jak swoją rodzinę.

Jeśli istnieje raj na ziemi, to są nim właśnie Wyspy Kokosowe. Prawnicy nie mieli tu do rozstrzygnięcia żadnych spraw, ale znaleź-

li sobie inną robotę, bo w porcie stały dwie jednostki: wielki okręt wojenny i „Spray”. Zamiast procesu sądowego zorganizowano potańcówkę, a wszyscy oficerowie, którzy mogli opuścić okręt, zeszli na ląd. Przybyli wszyscy mieszkańcy wyspy, zarówno starzy, jak i młodzi, a wielka sala gubernatora wypełniła się ludźmi. Tańczyli wszyscy, którzy tylko mogli utrzymać się na nogach, podczas gdy dzieci zbite w gromadki stojące w rogach sali zadowalały się obserwowaniem uczestników zabawy. Moja mała przyjaciółka Ofelia tańczyła z sędzią. Dwóch skrzypków na okrągło przygrywało starą dobrą melodię: *Nie wrócimy do domu aż do rana*. I nie wróciliśmy.

Na Wyspach Kokosowych kobiety nie pracują tak ciężko jak w wielu innych miejscach, które odwiedziłem podczas rejsu. Widok pana i władcy wspinającego się na drzewo kokosowe ucieszyłby serce mieszkanki Ziemi Ognistej. Oprócz doskonałych umiejętności wspinania się na drzewa mężczyźni z Wysp Kokosowych potrafią budować canoe o wspaniałych kształtach. To właśnie tutaj widziałem zdecydowanie najlepszych skutników, z którymi miałem do czynienia podczas całego rejsu. Pod palmami w Keeling mieszkało wielu świetnych majstrów, a brzęczenie pił taśmowych i dźwięk kowadeł słyszeć było od rana do nocy. Pierwsi szkoccy osadnicy zaszczepili tu siłę północnej krwi i nawyk ciężkiej pracy. Żadne dobroczynne stowarzyszenie nie zrobiło tak wiele dla mieszkańców wysp jak szlachetny kapitan Ross i jego synowie, którzy poszli za jego przykładem i byli równie pracowici oraz gospodarzni.

Admirał Fitzroy, który przypluwając tu na okręcie „Beagle”, chciał odwiedzić miejsce, gdzie wiele rzeczy dzieje się na odwrót niż normalnie, opowiadał o „tych małych, aczkolwiek niezwykłych wyspach, gdzie kraby jedzą orzechy kokosowe, ryby jedzą koralowce, psy łapią ryby, ludzie jeżdżą na żółwiach, a muszle są niebezpiecznymi pułapkami na ludzi”, dodając, że większość

ptaków morskich gnieździ się na gałęziach palm, podczas gdy szczyry budują swoje gniazda na ich wierzchołkach.

Kiedy mój statek był już wyremontowany, postanowiłem zaopieścić ładownię słynnymi mamucimi muszlami *tridacna* z Wysp Kokosowych, które można znaleźć w pobliskiej zatoce. I właśnie tutaj, w tak niewielkiej odległości od osady, byłem bliski utraty „całej załogi »Spraya«”, lecz nie z powodu włożenia stopy do muszli pułapki, tylko lekkomyślnego zachowania podczas płynięcia bączkiem przez port. Żeglowałem w swym życiu po wszystkich oceanach i opłynąłem świat dookoła, nigdy nie będąc tak blisko śmierci jak podczas tej przeprawy przez lagunę, gdy zaufałem obcemu, a on – słaby śmiertelnik – prawdopodobnie całkowicie zaufał mi. Krótko mówiąc, wsiadłem razem z bezmyślnym afrykańskim Murzynem do rozklekotanej łódki ze sparciałym żaglem, który rozerwał się w połowie przesmyku, gdy uderzył w nas szkwał. Zaczęliśmy bezradnie dryfować w kierunku otwartego morza, gdzie groziła nam zagłada. Mając przed sobą po zawietrznej cały ocean, z przerażeniem zauważyłem, że w łodzi nie ma ani wiosła, ani nawet pagaja! Mieliśmy oczywiście kotwicę, ale ze zbyt krótką liną, by móc choćby powiesić na niej kota, a byliśmy już na głębokiej wodzie. Szczęśliwym trafem mieliśmy jednak kawałek drewnianego drąga. Używając go jako wiosła, z największym wysiłkiem i dzięki przypadkowo korzystnej zmianie wiatru, który przez chwilę nam sprzyjał, udało mi się wprowadzić łódkę na mieliznę, skąd mogliśmy ją dopchać do brzegu. Mając jako najbliższy ląd po zawietrznej oddaloną o 3000 mil Afrykę, nie dysponując ani kroplą słodkiej wody, będąc na łódce w towarzystwie chudego i głodnego Murzyna – no cóż, idę o zakład, że załoga „Spraya” miała marne widoki na przeżycie. Nie trzeba dodawać, że więcej nie ryzykowałem. Muszle *tridacna* pozyskałem później, płynąc po nie w bezpiecznej łodzi. Zabrałem ich 30 i włożyłem na miejsce



Kapitan Slocum dryfuje w kierunku morza

3 ton cementowego balastu, który wyrzuciłem za burtę, aby statek zachował dobrą pływalność.

22 sierpnia *kpeting* – lub cokolwiek innego, co trzymało słup na wyspach – puścił i „Spray” wypłynął w morze pod pełnymi żaglami, obierając ponownie kurs do domu. Pokonując bez trudu wielkie fale przyboju rozbijające się na obrzeżach atolu, minął pobłyskujące w słońcu rafy. Było jeszcze daleko do zmroku, gdy Wyspy Kokosowe wraz z zamieszkującym je tysiącem dusz, tak

bezgrzesznych w swoim życiu, jak to tylko możliwe, jeśli chodzi o zwykłych śmiertelników, pozostawione za rufą zniknęły mi z oczu. Podkreślam, że z zasięgu wzroku, bo darzone przeze mnie najgorętszymi uczuciami nigdy nie zniknęły z mojego serca.

„Spray” ciągnął ostro do wiatru kursem, który obrałem na wyspę Rodrigues, co powodowało, że idące z boku fale wzburzonego morza rozbijały się o burtę, zalewając pokład. Kurs rzeczywisty na odległą o 1900 mil wyspę wynosił 256° (zachodnio-południowy ku południowemu), ale sterowałem znacznie ostrzej do wiatru, aby uwzględnić działanie fali i innych zjawisk mogących powodować zbyt duży znos ku zawietrznej. Pod zarefowanymi żaglami słup płynął tym kursem przez wiele dni. Naturalnie byłem zmęczony tym niekończącym się bocznym rozkołysem morza, a przede wszystkim kąpielami w strugach wody, gdy tylko pojawiałem się na pokładzie. W tych ciężkich warunkach pogodowych „Spray” wydawał się tracić na prędkości. Tak w każdym razie tłumaczyłem sobie powstałą po 15 dniach żeglugi z Wysp Kokosowych rozbieżność wynoszącą 150 mil między wskazaniem logu a moimi obliczeniami, z których wynikało, że przebyłem znacznie większy dystans. Wytężyłem więc wzrok, wypatrując lądu. Tego samego dnia o zachodzie słońca ujrzałem przed dziobem kłębowisko chmur stojących w miejscu, podczas gdy inne płynęły dalej. Zacząłem się zastanawiać, cóż to może zwiastować. Słup podążał przed siebie, a o północy w miejscu, w którym widziałem odpoczywające chmury, pojawił się jakiś ciemny obiekt. Był jeszcze daleko, ale nie można było się pomylić: to były szczyty wyspy Rodrigues. Wyjąłem log patentowy, który ciągnąłem teraz bardziej z przyzwyczajenia niż z konieczności, ponieważ już od dłuższego czasu potrafiłem określić prędkość „Spraya” na oko i znałem jego zaleoty. Jeżeli czegoś mogłem być pewien podczas tego rejsu, to tego, że można było mu ufać, że zawsze wyjdzie cało z opresji, choć

jednocześnie zawsze byłem gotów mu pomóc nawet w przypadku najmniejszych wątpliwości. Zauważyłem, że oficerowie, którzy są zbyt pewni siebie i „znają wszystko jak własną kieszeń”, rozbijają najwięcej statków i tracą najwięcej ludzi. Przyczyną błędnych wskazań logu była często spotykana sytuacja, a mianowicie kontakt z dużą rybą, w wyniku czego dwie z czterech łopatek śmigła były zgniatane lub wyginane, prawdopodobnie przez rekina. Będąc pewnym pozycji statku, położyłem się, aby odpocząć oraz pomyśleć, i od razu poczułem się lepiej. O świcie miałem wyspę na trawersie, w odległości około 3 mil. Samotna, o surowym wyglądzie spowodowanym warunkami pogodowymi, przypominała dryfujący po Oceanie Indyjskim kawałek lądu, który dopłynął tak daleko. Jej nawietrzna strona nie wyglądała zachęcająco, ale po zawietrznej znajdował się dobry port, do którego żeglowałem teraz ostrym bajdewindem. Pojawił się pilot, aby wprowadzić mnie do portu, do którego wpływało się wąskim kanałem wiodącym wśród raf koralowych.

Co ciekawe, na wszystkich wyspach często zdarzenia, które miały miejsce rzeczywiście, traktowano jako nierealne, podczas gdy rzeczy nieprawdopodobne uważano za prawdziwe. Nie inaczej było tutaj. Otóż kilka dni wcześniej poczciwy opat opowiadał swoim parafianom o nadejściu Antychrysta. Kiedy zobaczyli, jak niesiony silnym wiatrem niczym piórko „Spray” wpływa do portu pod białymi żaglami, a na pokładzie jest tylko jeden człowiek, wybiegli wszyscy na plażę i zawołali: „Niech Bóg ma nas w swej opiece! To on, przybył tym statkiem!”, co moim zdaniem było najmniej prawdopodobnym sposobem podróży Antychrysta. Niemniej jednak błyskawicznie po okolicy rozeszły się wieści o mojej wizycie. Gubernator wyspy pan Roberts natychmiast ruszył do przystani, aby zobaczyć, o co chodzi, ponieważ w małym miasteczku zapanowało wielkie poruszenie. Pewna starsza kobieta, dowiedziawszy się

o moim przybyciu, uciekła do domu i zabarykadowała się w nim. Kiedy usłyszała, że rzeczywiście idę ulicą, zaryglowała drzwi i nie wychodziła na zewnątrz, dopóki nie odpłynąłem z wyspy, czyli przez osiem dni. Gubernator Roberts i jego rodzina nie podzielali tych obaw i przybyli na nabrzeże, przy którym stał zacumowany słup, a nawet weszli na pokład. Za ich przykładem podążyli również inni. Młodzi synkowie gubernatora natychmiast zajęli się bączkiem „Spraya”, a moja wizyta kosztowała jego ekscelencję – oprócz wielkiej gościnności, z którą mnie podjął – zbudowanie dla swoich potomków łódki podobnej do tej ze „Spraya”.

Mój pierwszy dzień na tej Ziemi Obiecanej był dla mnie jak z bajki. Przez wiele dni studiowałem mapy i liczyłem czas przybycia do tego miejsca, jakbym zmierzał do Wysp Błogosławionych, uważając je za koniec ostatniego długiego przelotu, uciążliwego z powodu braku wielu rzeczy, w które teraz mogłem bez trudu się zaopatrzyć. I oto mój słup stał tutaj, bezpiecznie zacumowany do pomostu na wyspie Rodrigues. Pierwszego wieczoru na lądzie, w krainie, gdzie przy stole używa się serwetek i rżniętego szkła, wciąż miałem przed oczami widmo używanych przeze mnie na statku konopnych ręczników i kubków z utraconymi uszkami. Zamiast miotania przez morskie fale, jak dotychczas, znalazłem się w jasnej sali, w towarzystwie błyskotliwie dowcipnych ludzi i spożywałem posiłek z gubernatorem wyspy!

– Aladynie! – zawołałem. – Wiesz, gdzie możesz się schować ze swoją lampą? Moja rybacka latarnia, którą zdobyłem w Gloucester, pokazała mi lepsze rzeczy niż twój stary, zakopcony palnik.

Drugi dzień w porcie spędziliśmy na przyjmowaniu gości. Pani Roberts i jej dzieci przybyły pierwsze, aby – jak się wyraziły – „uścisnąć dłoń »Sprayowi«”. Teraz już nikt się nie bał wejść na pokład z wyjątkiem biednej starej kobiety, która nadal utrzymywała, że w ładowni „Spraya” przebywa Antychryst, o ile oczywiście

nie zszedł już na ląd. Gubernator wydał tego wieczoru przyjęcie i uprzejmie zaprosił „burzyciela świata”, aby opowiedział o sobie. Ten zaś uczynił to chętnie, rozwodząc się nad niebezpieczeństwami grożącymi na morzu (które jak większość skromnych śmiertelników, gdyby to tylko od niego zależało, wolałby pokonać bez żadnych problemów), a także za pomocą rzutnika wyświetlał na ścianie zdjęcia robione w miejscach i krajach odwiedzonych podczas podróży (jednak żadne z nich nie przypominało tego, co byłoby dziełem Antychrysta) oraz spotykanych tam ludzi, dzikich i innych, często przy tym pojękując: „Grzeszny świat! Grzeszny świat!”. Kiedy pokaz się skończył, jego ekscelencja gubernator, wypowiadając słowa wdzięczności, podarował prelegentowi kilka sztabek złota.

Następnego dnia towarzyszyłem ekscelencji i jego rodzinie. Złożyliśmy wizytę w położonym wśród wzgórz klasztorze San Gabriel. Poczciwy opat podjął nas po królewsku i gościł aż do następnego dnia. Kiedy opuszczałem jego posiadłość, powiedział:

– Kapitanie, pozwól, że cię uściskam i niezależnie od tego, jakiego jesteś wyznania, życzę ci szczęśliwej podróży i aby nasz Zbawiciel Chrystus był zawsze z tobą!

Słyszając, co mówi ten dobry człowiek, mogłem mu odpowiedzieć tylko w ten sposób:

– Mój drogi ojcze, gdyby wszyscy wyznawcy religii byli tak liberalni jak ty, nie lałoby się aż tyle krwi na świecie.

Na wyspie Rodrigues można teraz uzupełnić w dowolnej ilości zapasy wody, czystej i zdrowej, ponieważ gubernator Roberts na wzgórzach powyżej wioski zbudował zbiornik i ułożył rurociąg, który pociągnął do nabrzeża, gdzie podczas mojej wizyty największa głębokość w czasie przyływu wynosiła ponad 1,5 metra. W poprzednich latach używano wody ze studni, co czasami powodowało lżejsze lub cięższe choroby. Wołowinę można kupić

na wyspie w dowolnej ilości i po umiarkowanej cenie. Słodkie bataty również są łatwo dostępne i tanie, kupiłem za około 4 szylingi duży ich worek i przechowywały się wyjątkowo długo w dobrym stanie. Trzymałem je po prostu w suchej ładowni statku. Z owoców najbardziej obficie rosną granaty, za 2 szylingi dostałem duży ich worek – tyle, ile osiołek mógł udźwignąć i donieść z sadu, który, nawiasem mówiąc, zasadziła sama przyroda.